

FAUSTA CZĘŚĆ DRUGA.

STUDYUM KRYTYCZNE

według dzieła E. Caro (La philosophie de Goethe).

Nie trzeba wielkiej przenikliwości na odgadnięcie epoki życia, w której Gete przedsięwziąć mógł dopełnienie swego Fausta; nie jedna cecha zdradza tam słońce skłaniające się ku zachodowi. Ogromny ten poemat nie rozwija się wcale drogą właściwą każdemu utworowi przyrody, nie wykwita z idei jakby z ziarna, nie zastaje ani w stosownie urobionym gruncie, ani w otaczającym go powietrzu warunków życia i wzrostu; nie podnosi się stopniowo ku ostatecznej swojej mierze w sposób zdolny utaić wysiłki swego twórcy. Doprawdy, nie takto rodzą się i rozwijają wielkie wytwory geniuszu, nie tak zwiastują się światu dzieła istotnego namaszczenia. Czujesz tu wyraźnie pracę, przyniewalającą do form systematycznych myśl często nieposłuszną; natchnienie tu krótkie jest, przerywane, ukradkowe: robota widocznie spełniona dopadkami, w znacznych czasu przedziałach. Córa to raczej silnej woli działającej z przymusem, którego też utaić nie umie, niż przyrodzonego popędu, zdolnego tworzyć swobodnie i radośnie, z łatwością noszącą wszelkie cechy niebieskiego pochodzenia.

Czuł to boleśnie sam Gete, wyznawał nawet głośno w poufnych pogawędkach z przyjaciółmi. Kiedy raz mówiono przy nim o powołaniu Napoleona i świetnej jego

gwiazdzie, mierzchnącej w miarę jak się oddalał od dni swęj młodości. „Cóż chcecie—rzekł na to—toż i ja nie utworzyłem dwa razy w życiu moich pieśni miłosnych i Wetera. Podobnie boskie oświecenie opromienia tylko lata młodości, które są jedynym wiekiem zdolności twórczych. Bo i cóż geniusz bez siły twórczej?—w tym względzie wiecznie młodymby być należało!” Słowa te tłumaczą nie jeden zwrot po za siebie w dziejach pomysłów wielkiego poety. Czuł się zdolnym gwałcić zwycięzko zwykłe warunki życia ludzkiego. Inni są raz tylko młodzi, ale geniusz to co innego. On wie, że mu nie tylko wolno ale i przystoi wyznawać głośno boskie swoje pochodzenie. W istocie zdarza się napotykać u niektórych wyższych ludzi chwile świetnego odmłodnienia: Gete nazywał to powtórném *dorastaniem* geniuszu. „Z tém wszystkiém -- dodawał smutnie—powtórna młodość, to więcej złudzenie jak jawa. Siła geniuszu, jakbądź potężna, nie łatwo da radę ciału; nie jedno to zaprawdę, czuć w sobie samym sprzymierzeńca czy przeciwników”. I zwracając się ku twardym koniecznościom życia, przypominał jak za dni swojęj młodości, był w stanie, w ciągu trzech dni, napisać dramat lub inną jaką większą całość. „Dziś aniby próbować czegoś podobnego. To co mi się wtedy codzien udawać mogło, dziś zdarza się chyba chwilowo, i to jedynie w pewnych przyjaznych warunkach. Pracując nad drugą częścią Fausta, gdyby nie ranne godziny, w których dobroczynnym snem pokrzepiony, czuję całą rozkosz oderwania się od tuzinkowych zaprzątnień domowego życia, anibym podołał mojemu zadaniu. A i wtedy jeszcze, cóż tak dalece wypracować mogę? W najlepszym razie kartkę rękopismu na dzień, co wszystko zmieściłoby się na dłoni, a są dni w których i mniej się napisze!” Niebawem zmuszony był uciekać się do innych jeszcze środków dla podsycenia swęj weny. Raz gdy go pytano: jak daleko zaszedł z Faustem?—„Idzie to, idzie—odpowiedział. Dziś kazałem zszyć w jedno wszystko co się dotąd napisało, dodałem także białego papieru na miejsce gdzie ma być akt czwarty. Tym sposobem widok dokonanej już pracy z jednej strony, z drugiej zaś tego co pozostaje do zrobienia, zachęci mię a nawet zmusi poniekąd do dokończenia reszty. Nie uwierzcie, do jakiego stopnia podobne środki działają nieraz na umysł człowieka”. W sło-

wach tych czuje się już zdziecinnienie ducha. Wykładając te dziwne teorye, liczył już sobie wielki poeta przeszło 82 lat życia.

Spóźniony wiek ten, z innych jeszcze względów przebija w poemacie. Najzupełniejszy brak w nim namiętnego uczucia. Wszechwładnym przywódcą całej sprawy, jest tam jedynie idea, objawiająca się w dwóch formach, to jest: erudycyi i dążności filozoficznych. Wszystkie zasoby wiedzy, jakie poeta z mozolną pracą zgarniał życie całe, używają w tym dziwnym poemacie najbardziej nieukróconej swobody. „Obmyśliłem go niewiedzieć jak dawno, mówił Gete w roku 1829, lat już 50 jak się z nim noszę. Przez czas ten tyle się *nagromadziło* materyałów, że dziś mam nie małą trudność w ich wyborze. Jest niesłychana mnogość postaci mitologicznych domagających się koniecznie swojej roli; ale ja wybieram takie tylko, które odpowiadają memu zadaniu.” Czytelnik sam osądzić potrafi, czy wybór poety zawsze był usprawiedliwiony. Nie małe to zresztą utrapienie, nie módz czytać rzeczy podobnej, bez nieodzownej pomocy mitologicznego słownika. Zajęcie poetyczne, rozprasza się tam co chwila pośród tego tłumu dziwacznych nazwisk, zbieranych pracowicie pomiędzy atrybutami najrozlicniejszych bogów, półbogów i bohaterów, albo znowu wyrazów zapożyczanych z ciemnej mowy tajemniczych inicjacyi i obrzędów. W istocie do czegoż się przywiązać myślą, pośród tego chaotycznego rozstroju nazwanego *Klassyczną Nocą Walpurgi*, kędy wirują w opętanym chorowodzie: to gryfy, to żurawie i byka, to daktyle, to lamie, to syreny, to znowu dryady i forkady, to nereidy i trytony, i wreszcie sfinksy obok ciemnych bóstw kabirów? Dziwnieź wygląda w obec podobnie płonnych wysiłków, prostoduszne zadowolenie Getego, który ani się spostrzega, że ta niepomiarowana nauka, całkowicie przygniotła poezję! Eckerman wydziwił się nie mógł, że miał tak wysoce uczonego mistrza. „Tak, tak, odpowiadano mu na to, jest tam nad czém połamać głowę. Już to nie zawadzi czasem nieco erudycyi.” I kiedy sobie uczeń winał, że właśnie w samą porę przeczytał był rozprawę Szellinga *O bóstwach Samotracyi*: „Co do mnie, rzekł mu Gete z uśmiechem, myślałem sobie zawsze, że to jednak rzecz nie zła mieć cośkolwiek. Tożto tam streszczono całą starożytność!

mówił znowu kiedyindziej oczarowany Eckerman. „Masz słusność, odpowiadał mu Gete, filologowie znajdują tam nie mało roboty.”

Jak powiedzieliśmy, dążności filozoficzne tyle niemal co i erudycya, składają się na to, żeby drugą część Fausta zrobić jak najmniej przystępną ogółowi. Wiemy już w jak późnym wieku stworzył ją poeta. Już mu wtedy ani w głowie było: czy Werter słusznie czy nie słusznie zrozpaczył o swoim szczęściu? W téj wieczornéj porze życia, daleko zostawił po za sobą równie upojenia jak tęsknoty, i jeśli jeszcze czasem pogonił za niemi wzrokiem, to mu się już przedstawiały tylko złotawym bez życia tumanem, rozplywającym się w mgłach widnokregu. Wcale co innego zaprzętało wtedy umysł starca. Szło mu o możność pogodzenia w jednéj wspólnéj teoryi obrońców sztuki starożytnéj ze stronnikami nowszych o niéj pojęć; szło mu o odgadnięcie znaczenia wielkich ruchów ludowych, które pół wieku trwając, straciły w otchłań uświęcone wiekami tradycye polityczne, i cały stary świat z posad dotychczasowych zepchnąwszy, szerzyły zwycięzki przewrót aż w ostateczne ziemie krańce; szło mu o zgłębienie ogólnych praw świata fizycznego, o przyswojenie sobie teoryj naukowych, wykwitających naonczas w Paryżu, Londynie i Berlinie, o przyjęcie udziału w tych świetnych sporach, w których przeciwnikami sobie byli Geoffroy Saint-Hilaire i Cuvier, każdy na swój sposób wykładając przyrodę; szło mu wreszcie pod schyłek dni pełnych sławy, o zdanie samemu sobie dokładnego rachunku ze wszystkich systematów które miał sposobność rozważyć w długim swoim życiu, i w sprawie których uważał się powołanym dać wymowne świadectwo potomności, dopóki mu jeszcze współczesną była. Takie to było usposobienie jego umysłu, w chwili kiedy się zabierał pisać część drugą swego Fausta. „Pomysł jój, słowa są jego, liczy już z górą lat 50; z témwszystkiém nie wyjdzie to na złe poematowi, żem mu nie dał życia aż dzisiaj; z wiekiem umysł mój nabył nierównie jaśniejszych pojęć o rzeczach tego świata. Jestem jak człowiek, któryby miał w młodości nie mało drobnych srebrem i miedzią; stopniowo coraz się dalej zapędzając w lata, mieniał te drobne coraz zyskowniej, aż dziś posiada wreszcie samo ważne obrączkowe złoto.”

Paraboli tej niepodobna odmówić pewnej względnej słuszności. Życie poświęcone myśleniu i poszukiwaniom prawdy, toż to jedyna praktyczna alchemia pod słońcem; pytanie tylko: czy udoskonalenie filozoficzne jest zarazem postępem na drodze poezyi? Rzecz się ma wcale przeciwnie. Wszelkie, choćby najrzadsze spekulacyjne skarby, nie tylko nie podtrzymują natchnienia, ale je owszem przynębiają i głuszą. Dzieje się to tak: że myśli nagromadzone w głowie wieszczą, nazbyt tłumnie cisną się do światła i życia uśmiechającego się im w poezyi, skutkiem czego gniotą się wzajemnie, właśnie jak się to zdarza w zbiegowiskach, gdzie każdy radby być pierwszym. Żadna z tych myśli nie dobije się swobodnego, oddzielnego, wyróżniającego ją od drugih istnienia, gdyż takowe udziałem jest tylko wytworów sztuki: rzeczywiście niczem nie skrępowanej i szczerze płodnej: słowem jedynie po to ze sfery czystych abstrakcyj wyjdą, żeby się przenieść w chłodne krainy symbolizmu. Skutkiem zaś podobnego stanu rzeczy, wytwarzają się zjawiska, których zbiór dziwnie uzupełniony przedstawia właśnie druga część Fausta. Poezja dramatyczna, której całe zajęcie polega na przedstawieniu walk namiętności, rozplywa się tam w pewnym rodzaju ogólnej allegoryi, pośród której działające osoby, nie ludźmi już są, tylko systemami. Nie szukać też nigdzie głównego jakiegoś czynu, któryby wiązał do siebie pojedyncze ustępy, lub choćby organicznego ogniska, ześrodkowującego jako tako stosunki oderwanych części poematu. Wszystko tam rozpieczętę, myślące tylko o sobie; scena każda stanowi niemal osobną w sobie całość, bez związku z tém co ją poprzedziło, lub co po niej będzie. Ogólnie poemat ten jest tylko przedstawieniem w dyalogowej formie: to mglistych symbolów, to przymuszonych do rzeczywistości abstrakcyj, pośród których blakają się niby cienie Tartaru ci, których niegdyś tyle żyjącemi, tyle działającemi znaleźmy; nosili oni jeszcze wtedy z całą nieprzymuszoną szczerością ducha miano Fausta lub Mefistofelesa. Święta jakaś pomroka narzuca nieprzenikliwą mgłę zasłoną, ten ciąg sennych pochodów, pośród których snują się widm orszaki. Trzeba nie lada odwagi, żeby się chcieć zapuścić w te tajemnicze cieniów krainy, żeby móżdż przebyć te tysiączne przeszkody, które co krok bronią wyjścia; i tak-

że nie lada nauki, żeby potrafić zakłąć te zgraje najróżnorodniejszych widziadeł, błakających się pod pokrywką starożytnych nazwisk pośród cieniów uroczystej nocy: i wreszcie nie lada przenikliwości, żeby przebrawszy się poprzez te wszystkie manowce, odszukać wkońcu ognisko labiryntu, pośród którego przy świetle czystej idei, odśłania się ołtarz prawdziwego Boga.

Nie wielka liczba śmiałków, którzy się odważyli na tę wyprawę, wróciła z niej jednak bez szwanku. Z tém wszystkiem trudności jeżące się już na samym wstępie do świątyni, zniechęcają zwyczajnych śmiertelników. Mniemaćby można, że takie było właśnie życzenie poety; sam bowiem, osobiście broniąc wstępu do świętego gaju w którym wydaje wyrocznie, nie wahał się powtórzyć za Horacym: *odi profanum vulgus et arceo*. „Kto choć części tych idei nie nosi w sobie, rzekł indziej znowu, nigdy nie zdoła pojąć, com chciał wypowiedzieć.” Dodaje także wyniośle, kiedy mu wspomniano o czytającej powszechności:—„Powszechność? Dajcież mi tam pokój z powszechnością! Mnie szło tylko o to, żebym spisał w żywém słowie, com nosił w duszy. Świat niech sobie z tém robi co mu się podoba; pożytek jaki z tego osiągnie, będzie zależał od jego uzdolnienia.” Słowa to bardzo nieroztropne. Ogół wzgardzony przez poetę, pozostawił go sam na sam z jego dziełem. Tak jest, obojętność ukarała samolubstwo starca, który ani już pomyślał o czémś inném, jak o popisanu się z zasobami własnej wiedzy.

Taką się nam przedstawia część druga Fausta, będąca raczėj wytworem połączonych sił erudycyi i filozofii, niż dziełem szczerego natchnienia. Właśnie jednak te same trudności, które zniechęcają profanów, tém żywiėj zaostrzają badawcze żądze krytyki filozoficznej, która przeszkody pomienione za godne siebie uważając zapasy, rada je wyzwąć do walki i zwyciężyć ile może; pomiędzy niemi bowiem, droga jest prosto w samo ognisko, w samo serce dzieła, i rzeczą jest ze wszechmiar ważną: zarówno zbadać cały ogrom wyrobienia się idei przez przeciąg półwiekowy w umyśle wielkiego poety, jak i schwytać na żywym uczynku stopniowy postęp jego pojęć i przekonań w przedmiocie wszystkich wielkich zadań, jakimi się zaprzętała zwykła ciekawość speku-

lacyjna. Nie troszcząc się tedy o ogólny układ dramatu, który zresztą, jak to i sam Gete rad przyznawał, złożony jest z części nie koniecznie do siebie przystających, ograniczmy się tylko na kilku pojedynczych z niego studyach, dzieląc go dowolnie na trzy części, dość zresztą same z siebie wyraźne: Jedna z nich wyróżniać będzie cały zawód *pośtanniczy Fausta* aż do jego zgonu; druga magiczne zjawisko *Heleny*; trzecia ustęp *Homunculusa* i *klassycznej nocy Walpurgi*. Pod symbolistyką tych trzech epizodów, uporządkowywa się zresztą sam z siebie systematyczny wykład teorii poety: tyjących się *polityki*, pojęć o *sztuce* i tłumaczenia zjawisk *przyrody*. Po przez cały zaś ciąg dzieła, przesuwa się, niby nitka Aryadny, idea ogólna, niekiedy z rąk upuszczana, niekiedy znów podejmowana, pozwalając jednak acz z trudem przebyć najciemniejsze nawet manowce poematu i wyjść z nich na światło; idea ta, streszczająca w sobie długoletnie poety nad zagadkami życia dumania, całe wreszcie doświadczenie jego moralne, nie czém inném jest, jak apologią, nieledwie nawet apoteozą ludzkiej działalności.

Widocznie tedy, część druga Fausta nie jest niczém inném, jak jedną wielką teorią filozoficzną w allegorycznej formie. W miarę jak nam się przyjdzie posuwać w rozbiórze pojedynczych jej części, przekonać się będzie łatwo, ile podobne nagromadzenie najmocniej wysiłonych abstrakcyj, ciężkiem nieraz ugniatało brzemieniem polotną swobodę natchnienia poety. Rzeczy tych jednak nie sądzmy zbyt porywczo. Prawda to, że poeta dziwnie postarzał w przerwie dwóch części swego dzieła: że wraz z nim postarzał także jego bohater; jedna to przecież z tych starości pełnych potęgi i mocy życia, które silnemi sokami podsycala myśl przez czas długi; jedna to z tych, co się piętrzą ponad młode pokolenia na podobieństwo owych dębów, czasem już całkiem pozbawionych liścia a jeszcze sterczących dumnie ku niebu, wrosły bowiem korzeniami niemal w sam ziemi rdzeń, wierzchołkami zaś trącają obłoki.

Zanim się wdamy w bliższy rozbiór teorii wchodzących w skład filozoficznej trylogii dramatu, spróbujemy wykazać ile się da najjaśniej, sposób związania w jedno oddzielnych jej części. Zdaje się przedewszystkiém, jak to już powiedzieliśmy mieliśmy sposobność, że główną nicią w tym względzie,

jest idea działalności Fausta, coraz dokładniej stosowana do czynów pożytku powszechnego, coraz dojrzalej kształcona nabywanem po drogach życia doświadczeniem, jednem słowem, po szczeblach niby nieustającego postępu, pnąca się mozolnie ku ostatecznej wysokości, na której poeta umieścił udoskonalenie moralne. Udoskonalenie to, nawiasem mówiąc, wygląda raczej zajrzone ukradkiem, niżeli jasno twarzą w twarz widziane; tak dalece nie wyraźnie, tak nieśmiało określił je poeta.

Emblematyczna noc przedziela drugiego Fausta od pierwszego, który jak wiemy kończy się na śmierci Małgorzaty. Przez czas kiedy Ariel król Sylfów sen wielkiego winowajcy wołmi i miękką pieśnią kołysze, dusza jego uspokaja się i odradza. Straszliwe wspomnienia, zgryzoty, rozpacz, rozpływają się stopniowo w jego pamięci. Pod uroczym symbolem nocy tej, pełnej czystych upojeń, jakienś przyroda obdziela swoich wybranych, to jest tych co ją rozumieją i kochają, z góry już uwidomia się idea ulubiona panteistycznemu pocie. Po wielkich wstrząśnieniach duszy, nawet po przewinieniach wielkich, jedynym, najczystszyim środkiem podniesienia jęj z upadku, jest oddać się całkowicie w moc tej powszechnęj, tajemniczęj siły, wiecznie czynnéj i zbawczęj, która wszystko naprawia, bo i wszystko stwarza. Schorzałe duchy zdrowie tam czerpią, umysły wzburzone, odpoczynek zbawienny, zaniepokojone sumienia pociechę, i nawet (wypowiedzmy tu do ostatka całą myśl Getego) przebaczenie. Tak jest: w mniemaniu tego wielkiego czciciela przyrody, nie tylko płyną z nięj obfitęm źródłem wzmacniające fizyczne własności, ale i wszelkie światło opromieniające ciemności, ale i wszelka moralna odradzająca własność, a tą jest zapomnienie, stanowiące najsilniejszy stopień uspokojenia wewnętrznych wyrzutów. Przyroda bowiem jest w każdym razie pobłażliwą matką, i przeto szlachetną pocieszycielką człowieka, a jako taka, staje się koniecznie najwyższą potęgą religijną, bowiem podnosi z upadku i rozgrzesza. Z jednéj strony zlewa ona na nędze tego życia oczyszczającą wodę Letejską, z drugięj, z mocy boskięj potęgi, namaszcza człowieka na zapaśnika wielkich walk, do których go powołano.

Pod jęito błogim wpływem, Faust uczuwa stopniowo w odświeżonych wnętrzach swego ducha budzącę się źródła

nowych życia zasobów. Zwątpienia i upadki wczorajsze, pierzchają jakby nikłe tumany, w obec wschodzącej zorzy nowych sił woli. Czuje po wszystkich członkach odmłodnienie jakieś szczególne. Chór niewidzialny wyśpiewał mu roczną radę, której posłucha.—Odważnie! naprzód! bez wahania! umiej być śmiałym! powiedziano mu: prosto do celu! Motłoch tylko błąka się i chwieje. Szlachetny umysł, rozumny i działawczy, sam jeden podoła wszystkiemu!—Więc też zaledwie świt zabłysnął, otrząsłszy z siebie słabe więzy snu magicznego, wstaje bohater, swobodny po dawnemu, i znów gotowy wyzwąć do boju przeznaczenie. W przepysznój apostoście składa podziękowanie ziemi, że go śpiącego przytulała czule do macierzyńskiego łona.—Z siłą nową biją we mnie tętna żywotne, witając słodko rumieniejącą się u wschodu jutrzeńkę... Ziemi! tyś mi także wierną była téj nocy, ty także dyszysz u nóg mych odmłodniała. I oto poczynasz mię znów otaczać rozkoszami życia, budząc zarazem i podniecając we mnie silne postanowienie dążenia bez ustanku ku coraz szlachetniejszemu istnieniu.

Dotąd namiętność wstrząsała go tylko bezpożytecznie, i wreszcie nędznie w pole wywiodła; ostatecznie rzuciła go o ziemię zdeptanego, zmiażdżonego niemal, pod brzemieniem konieczności, którego zarody nosi w sobie wszelki popęd ziemski. Obecnie czyn już tylko wypełniać mu będzie życie, tak jest, czyn jedynie kusi odmłodniałą jego swobodę, zbudzoną nagle jakby ze snu czarodziejskiego zarazem i przykrego. Nie będzie już dłużej losu igraszką, nie odda mu już więcej duszy swój, jak było wprzód, na całkowitą paśtwę, z wszelkiem zaparciem się siebie. Pełném prawem wzniesłego umysłu, który odzyskawszy siebie, ani myśli wyrzec się swojej władzy, on sam teraz panem być chce wypadków, sam je przygotowywać, sam wybór robić między nimi. Stanąwszy pośród zakresu który naznaczy swój działalność, on powie teraz z Prometeuszem: — „Nic ani podemną, ani nademną.“ — On panem się stanie wszystkiemu, byle się tylko niczego nie ustraszył, byle niczego nie wyglądał zbyt, byle się potrafił wyłamać losom z pod zawistości, w którą zaprzedał ludzi tajemniczy zbieg wypadków w połączeniu ze słabością ducha. Tak jest, za tę cenę, monar-

chę się stanie, Bogiem się stanie—wprawdzie ziemskim, ale zawsze Bogiem.

Jestto jednem słowem zbudzenie się działalności w wzniosłej sferze bohaterstwa. Działalność ta, długo ukrócana bezpożyteczném targaniem, długo to ugniatana, to znowu rozsadzana gwałtami namiętności, obecnie zrywa się do swobody, w chęci zagarnięcia świata. Tym sposobem, Faust, w nienasyconej swojej żądzy doświadczenia wszystkiego i wszystkiego zgłębienia, przebiegł niby rozmaite sfery zachceń ducha. Zrazu przebierał się mozolnie po przez tę wyniosłą a ciemną strefę, którą myśl spekulacyjna dążeniami swemi pychy pełnemi oraz przywidzeniami wypełnia; potem przeleciał burzliwie drugą, o wiele powabniejszą, pośród której rozwieliżyła się miłość, ze wszystkiemi swemi urokami, tajemnicami, szaleństwami. Przybywa ostatecznie do trzeciej, prawdziwie już człowieczej; kędy woła na to tylko siły zbiera i skupia się w sobie, ażeby jedną razą wybuchnąwszy na zewnątrz, szeregiem postanowień pełnych energii, we właściwej godzinie świat zdobyć, i przerobić go po swęj myśli: bądźto drogą politycznych działań, bądź z bronią w rękę, bądź przez podniesienie przemysłu, bądź odrodzeniem sztuki. Tedy jak widzimy, poemat cały jest tylko czystą allegorią, wypowiadającą w formie dramatycznej całą potęgę działalności ludzkiej, ubóstwionej skutkiem wielkości celu, do którego dąży, oraz siły którą rozwija.

Czyn więc staje się odtąd jedyném przeznaczeniem odrodzonego Fausta. W spełnieniu naznaczonych sobie przez siebie samego obowiązków znajdzie on odtąd najszlachetniejsze jakie być mogą pod słońcem uciechy: poważne szczęście mędrca, który czuje na każdym kroku że jest pożyteczny, bądź to szerząc w około ulepszenia rolnicze i zarazem towarzyskie, to jest dopomagając ziemi do zapewnienia ludziom dobrobytu, bądź téż, co rzecz trudniejsza daleko, krzątając się około polepszenia dusz ludzkich, serc i umysłów. Widocznie poeta umyślił urzeczywistnić w życiu swego bohatera własny ideał moralności, która się cała jak ku słońcu żwra ku czynowi, zawsze jednak w najwyższém i najobszerniejszém jego znaczeniu, mianowicie biorąc go jako działanie wprost przeciwne egoizmowi namiętności, a także i jako myśl gardzącą poklaskiem tłumu, wprost przeciwną spekulacyi roz-

pierzchającej się pośród abstrakcyjnych czczości, oraz nie-
mniej płonnyim popędem żądz chwyających tylko cienie rze-
czywistości; jednem słowem, jako działanie, objawiające się
bądź pełnieniem namacalnem obowiązków codziennego życia,
bądź wielkimi dzieły zdolnemi w przyszłości dopiero ludz-
kość odrodzić, bądź wreszcie estetyczną i naukową umysłową
uprawą.

W znaczeniu podobném rzecz biorąc, przyznać wypa-
dnie, że poemat ten nie tylko jest dalszym ciągiem i dopeł-
nieniem pierwszej części Fausta, ale że dopełnia także Wer-
tera udoskonalać go zarazem, a mianowicie zacierając smu-
tne wrażenie ostatecznych jego losów, z pomocą wzniosłej
nauki, będącej owocem długoletniego doświadczenia. Werter
uosabiał niby chorobliwą młodzieńczą czułościowość, uwa-
żającą się w prostocie ducha za jedyny cel życia, i która raz
omylona w swoim rozmarzeniu, ani się zdobyć zdoła na wy-
cierpienie rzeczywistości bez złudzeń, życia bez żądz, żądz
bez szczęścia. Był niby typem miłosnego szału, stojącego
w swém opętaniu na równi z starożytną cnotą, przyoblekają-
cego się zarozumiale w zwyczajkie uroki przywidzianego bo-
hateryzmu, który w rzeczywistości był tylko opłakaném
i dziecinném pomieszaniem zmysłów. Jedyńą tedy możebną
poprawą moralnego sensu Wertera, jedyném lekarstwem na
tę chorobę która w swoim czasie tyle młodzieży niemieckiej
do samobójstwa popchnęła, było w mniemaniu Getego przed-
stawienie dosadnego obrazu wysiłków, zapasów i wreszcie
tryumfów czynnego życia. Stosownie do zamiaru poety,
Faust rzucający się w rzeczywistość dla otrząśnienia z siebie
wycieńczającej niemocy ducha odrętwiałego w miłosnych za-
chwytach, za przykład miał służyć każdemu, który uwiedzio-
ny poetycznością typu Wertera, w ślad za nim, w przesadzie
uczucia, wyższego nad obowiązek popędu szukał, czyli co na
jedno wyjdzie, w miejsce prostoty życia praktycznego, zbro-
dniczą i niebezpieczną wielkość marzeń podstawił. Czyn-
ność! Czynność! oto jedyne zbawienie dla tych, co sobie na-
zbyt długo, w wyteżoném życiu uniesień pełnóm, podobali.
Z podobnej matni wyzwolić się należy wszelkim możebnym
kosztem; to też to jedno tylko ocalić zdoła Fausta, zbawić
go nawet (mówiąc w duchu pojęć Getego), zbawić, pomimo
wszystkich jego błędów a następnie zbrodni; tak jest, tą tyl-

ko drogą zdoła on odzyskać znowu zaszczytne miano człowieka, tym tylko sposobem wykupić zaprzędaną upadkowi wielkość w obec Boga i przyrody.

Z téj strony, intencya moralna drugiej części Fausta, pozostaje w zgodzie z zasadą, przeprowadzaną w *Latach kształcenia się* i w *Latach podróży Wilhelma Meister*. Nazywając utwór ten podmiotową epopeją, prosi się Gete, żeby mu wolno było traktować w nim ludzi jak się jemu będzie podobało. Prawdę zaś mówiąc, robił to i bez opowiadania się komukolwiek. Poprzez próby jakich doświadcza Wilhelm Meister, a raczej poprzez dziwne wybryki fantazyi autora, który bohatera swego najosobliwszemi wiedzie przejściami, widnieje wielka zasada moralna, nierzadko wprowadzić mierzchną w pośród szczegółów natłoku: jestto nieunikniona kolój niedoli, w jaką popada każdy, kto obłąkawszy się wśród fałszywych dążeń, właściwy nakoniec z oczu cel traci, i przeto zbacza na manowce, rzucając się w tysiączne przedsięwzięcia, do których go bynajmniej nie stworzyła przyroda; jestto konieczność, pod karą cierpień i płonnej rozpacz, odszukania sobie kierunku właściwego wrodzonym zdolnościom, pogodzenie się z samym sobą i przyrodą, wywikłania się wreszcie z matni bezcelowych mrzonek, dla oddania się duszą całą życiu czynnemu, porządnemu, słowem całkowicie pożytecznemu. Zasada to dziwnie piękna w sobie, streszczająca bowiem całą moralność praktyczną: „spełniaj twój obowiązek nie dalej jak z dnia na dzień. Nie każdemu wyznaczono to samo co i drugiemu zadanie, każdemu jednak jakieś wyznaczono. Nie ma takiego nędzarza ani takiego wydziedziczeńca przyrody, któremuby nie było dano coś zacząć lub coś ciągnąć dalej: bo nawet i najskromniejszych środków wartość przedziwnie uszlachetniają szczęśliwe ich wyniki, poczucie zaś potrzeby powszechnego postępu podnosi w własném mniemaniu najlichszego nawet w hierarchii społecznej pracownika. Nie tyle bowiem idzie o to, żeby wielkie rzeczy działać, jak raczej o to, żeby pełnić to do czego się jest stworzonym; na to, żebyś godnie zadaniu swemu odpowiedział, działaj tylko stosownie do właściwych środków oraz wrodzonego usposobienia, nie oddalając się ani krokiem z wyznaczonego ci losem stanowiska. Na tém polega najwyższa moralność, najwyższe także szczęście i jedyne. Po

za obreębem téj zasady istnieją tylko straty sił i czasu, drogi bez wyjścia, udręczenie życia trawiącego się w gorączkowej nikomu nie przydatnej szarpaninie, zawody płonnych acz wyczerpujących wysiłków, i wreszcie bohaterские uniesienia rozbijające się po ciemnościach." Śpiew tajemniczych towarzyszy, wtajemniczających Wilhelma w nowicyat życia praktycznego, streściłoby można w tych prostych, pełnych ducha męskiego wyrazach: W życiu staraj się nie puszczać w odwłokę, działaniem tylko żyj, działaj bez końca.

W ten sposób wracamy znowu do zasady, stanowiącej podstawę drugiej części Fausta; jest nią, jak widzieliśmy, działalność człowieka, podniesiona do najwyższej potęgi ideału wyznawanego przez poetę: nic téż dziwnego, że dąży ni mniej ni więcej jak do podbicia świata. I oto przesuwają się kolejno pochod form, symbolizujących charakter tego podboju. Polityka, sztuka, nauka, wojna, przemysł, takie to są rozliczne środki, jakie poeta oddaje rozporządzeniu myśliciela lub bohatera. Naprawa bytu społecznego, oto cel, z pomocą którego ludzkość się uświęca. W zakresie szerokich ram rozwiniętej tu allegoryi, Faust jest jednocześnie myślicielem i bohaterem.

Przepatrzmy pokrótce, w jaki sposób wikłają się z sobą pojedyncze ustępy poematu. Faust przedstawia się na dworze, pałający żądzą czynu; ale tam znajduje państwo dziwnie zagrożone: w istocie, przepowiednie klęsk najstraszliwszych zdają się unosić w powietrzu. Chciałby wszelkimi sposobami ostrzedz o nich, i nawet czyni to pod osłoną tyśiącznych allegoryj i alluzyj, starając się oraz zapobiedz ich wybuchowi zbawiennymi radami. Byłby może i podolał rozbrojeniu grożących zewsząd nieszczęść, gdyby szatańską sztuką nie był przyspieszył ich natarcia Mefistofeles, lubniący się w krwawych przewrotach, jakby w najmilszym żywiole. W tém rozkiełznaniu ludowém, lecącym bez opamiętania w ziejającą otchłań, jedyną ucieczką dla mędrca którego radom odmówiono ucha, jest już tylko wiedza i sztuka. Zaczém dwie te dążności ducha wypełniają sobą cały ogrom przerwy, przedzielającej pierwsze sceny zjawienia się Fausta na dworze, od tych, w których wraca znowu, przynosząc cesarzowi zwycięstwo. W tym długim lat przeciagu, Faust usiłował dosięgnąć dwójakiej mety: najprzód, najwyższego piękna,

to jest poezyi, w osobie Heleny; następnie szczytu wiedzy, nie téj częć, szkolarskiej wiedzy, ale prawdziwój, istotnój, wiedzy żyjącej rzeczywistością, a taką napotkał jedynie w Homunculusie, który go téż doprowadza aż do źródeł i aż do samego rdzenia życia. Dwa te w ten sposób uważane zaprzątńienia umysłu, są także w sobie działalności objawem. Toż głęboka znajomość natury jak i poezyi wdzięków, już przez to samo że oświeca umysł człowieka i duszę jego ku niebu wznosi, niemniej potężnie jak i inne czynniki do postępu się przyczynia. W akcie czwartym, Faust czując już siły krzepnące starością, chciałby nieco zacieśnić zakres swojej działalności, sprowadzając ją, dla tém dzielniejszego zużytkowania, do rozmiarów więcej szczegółowego, wyraźniej określonego, jedném słowem więcej bezpośredni mogącego przynieść pożytek dzieła. — „Czuje w sobie, powiada, siły nowe do nowych prac.“ Niezdolny wznieść się do wysokości podobnie wzniosłej żądzy stanowiącej zaszczyt serca ludzkiego, Mefistofeles usiłuje, w pobudkach mniej szlachetnych, dopatrzeć tajemnicy, popychającój Fausta ku wielkim przedsięwzięciom. — „Chcesz zyskać chwałę—powiada mu — rozumiem. Przybywasz prosto z kraju bohaterów. — Mylisz się—odpowiada mu dumnie Faust. — Czyn tu jest wszystkim, chwała za nic.—Marzeniem jego jest wydrzeć oceanowi obszerne ziemi przestrzenie, które użyzni, a następnie obsadzi ludnością szczęśliwą i kwitnącą; będzie to rodzaj idealnój Hollandyi, którój rolnictwo i handel zapewni dobrobyt dotąd światu nie znany. W chwili jednak kiedy się już marzenia jego ziścić mają, nieprzewidziany wypadek strąca go znowu w najsmutniejszą rzeczywistość, bo w okropności wojny. Tak to często niemałym kosztem opłacić przychodzi prawo służenia ludzkości! Faust tedy zmuszonym się widzi stanąć wszelkimi sposoby po stronie dość sobie miernego monarchy, którego upadek mógł być wielką klęską, ale którego i zwycięstwo nie wiele więcej jest warte. Szczęśliwie dopiąwszy swego, śpieszy czémprędzej na wybrzeża oceanu, którego płonne obszary oddał mu cesarz na własność, w zamian za uczynioną w potrzebie przysługę; z tych ław piaszczystych, z tych pustek na których nawet trawa nie wyrasta, cudownym przemysłem robi Faust wkrótce najżyźniejszą część kraju. Tam przynajmniej,

czy raz już będzie szczęśliwy? Czy zakosztuje wreszcie uciechy, jaką daje zbawienna działawczość? Czy po tylu przykrych w życiu przeprawach, odpocznie raz już w sposób rozkoszny, mogąc choć dni swych schyłkowi zupełne z siebie zadowolenie dać w nadgrodzie? Nie, ta nawet najwyższa ze wszystkich szczęśliwość, polegająca na zaprzątńieniu około uszczęśliwienia drugich, i ta nawet zaniepokojoną się staje, zmaczoną. Jest tam coś, co zatruwa tajemnie czyste źródło, z którego ona wytryska. W miarę, jak przez szczere zaparcie się siebie dusza się Fausta ulepsza, bohater przekonująco się zaczyna; że jednak sam czyn nie jest jeszcze wszystkim, że nawet popęd szlachetny nie jest wszystkim, że na to ażeby wyniki czegoś podobnego czyste były, aby dobro zupełnem było, potrzeba także, aby środki któremi się osiąga były podobnie nieprzymuszone, szczere i czyste. Otóż od tego tam Mefistofeles: żeby podstępna przewrotnością swoją zatruwał nieustannie powietrze, którem Faust oddycha, żeby niezmordowanie zasiewał ziarno zepsucia pośród najszlachetniejszych jego zamiarów, zbijając z prawego toru gwałtownymi i niesprawiedliwymi popędami wzniesłe pomysły bohatera, gotów niby na każdą chwilę być mu poparciem, w rzeczy zaś: to niweczając częściowo zakreślone plany, to skoszlawiając ich wykonanie, to wreszcie brukając ich intensywnie całą złośliwością ujemnego natchnienia, którego jęj nie szczędzi. Wierny aż do końca swęj roli, Mefistofeles uosabia przy boku niezmordowanego w coraz podnioslejszęj działalności Fausta, ten pierwiastek małości, lichego pojęcia rzeczy i samolubnych zachcianek, zapługawiający najszlachetniejsze dążności epok bohaterysty, niby chwast, pielęgnowany ręką złośliwego zrządzenia, sprawiającego wiecznie: że ani piękno na tym płaczu padole bezwzględnie pięknem być nie może, ani dobro dobrem.

Obaczmy w jaki to sposób ten niezblągany szyderca wszelkię wielkości i wszelkiego piękna, zaprzęta się około pomniejszenia swego bohatera, rzucając w jego serce zarody robactwa, podgryzającego najszlachetniejsze jego dążenia. Pośród wzrastającej pomyślności tego idealnego ludu którym rządzi ojcowskie berło Fausta, najlepszego z monarchów króla-mędrca, przemysliwającego jedynie jakby tu jak największém nagromadzeniem bogactw zwiększyć środki do

zwalczenia cierpień i nędzy, czy widzicie na pobliskiej wydmie piaszczystej tę skromną chatkę Filemona i Baucydy, oraz pokorną kapliczkę tuż opodal? U szczytu szczęścia, zaczyna Fausta kłuć w oczy ten widok. Myśl że to są przestarzałe już tylko zacofanych cywilizacji i wypełzłych wiar szczątki, myśl, że to stanowi niepotrzebną tylko plamę na tym szerokim postępu obrazie, myśl ta przebiegle pod najrozmaitszymi kształty i co chwila przez szatańską ironię podsuwana, niepokoić go zaczyna, nawet rozdrażniać. Trzeba to będzie usunąć. Im władza większą jest, im zawada mniej ważną, tém mniej łatwą jest cierpliwość temu, kto jest wszystkiego panem—wszystkiego jednak, prócz sprawiedliwości.—Opór, upor, wiecznie zasmucały najchwalebniejsze podboje, powiada Faust. Sprawiedliwość! jakaż to męczarnia! Cóż to za rzecz trudna! cóż za niesłuchanie kosztowna!—Jako? będziesz się jeszcze namyslał—szepcze mu Mefistofeles —Kiedy się można skarży na przymus w poszanowaniu cudzego dobra, nie wielka to nadzieja żeby je szanował długo.—Wprędce też na rozkaz pół wyłudzony, pół źle wytłumaczony, skromna chatka staje się pastwą płomieni. Faust z ganku pałacowego, uczuwa jedną razą woń dymu niebieskiego na wiatrach.—Niestety! powiada truchlejąc na samą myśl, że do tego czynu chęć przyłożył, nazbyt dokładnie mię zrozumiano! nazbyt porywczo pośpieszono z przysługą.—Cieszy się Mefistofeles. Niegodziwa myśl którą poddmuchnął, okryła niesławą czystą pracę lat tylu. Faust, podobnie jak Achab niegdyś, sądził że nic nie posiada, dopóki nie posiadał lichęj własności sąsiada. Odwieczna to historia Nabotowej winnicy.

Za to, ostatni to już tryumf Mefistofelesa, i to nawet nader krótki. Pożar chłonący chatkę Filemona, rzucił smutną jasność w serce Fausta. Rozpatrując się w jego wnętrzu, spostrzegł ze zgrozą, że poddmuchy niegodziwego technienia krzywiły kierunek najskrytszych jego chęci, zgnilizną zapowietrzały najszlachetniejsze myśli. Tedy odtrąca od siebie godnego wszelkiej wzgardy sprzymierzeńca, i oczyszcza się przekleństwem jakie rzuca na wynalazcę zbrodni. „O magio—powiada—czegożbym nie dał, żebyś własnymi twemi zaklęciami mógł cię zepchnąć z méj drogi! O! przyrodo! czemuż po dawnemu człowiekiem nie jestem, zwyczaj-

nym tylko w obec ciebie człowiekiem! Wtedy jeszcze żyćby było warto. Tak jest, przynajmniej choć człowiekiem byłem, zanim się wkopałem w ciemności, zanim zbrodniczymi wyrazy przekląłem świat i siebie. Obecnie, powietrze wkoło mnie, jest tak przesycone czarami, że nawet ani wiem kędy się od nich schronić. Jakbądźby mnie dzień opływał światłem posilającą mądrość tchnącym, noc każda zawzięcie chwyta w matnię ducha mego, i udręcza go kłamliwemi snami, z których obudzić się nie mogę”

Zerwawszy wreszcie z posłannikiem niegodziwości, swobodnym się staje, szczęśliwym się uczuwa, i ukojone serce jego zakosztowuje wreszcie zupełnego z siebie zadowolenia. Tymczasem zbliża się ostateczna chwila. Zwolna gromadzą się w około Fausta zwiastunowie kresu. Strapienie zapędza się aż w głąb jego pałacu; dotkliwa niemoc w twarz mu tchnęła, i oto ślepym się staje; śmierć już blisko, a przecież nigdy serce Fausta spokojniejszem nie było, nigdy myśl pogodniejszą, woła silniejszą i czystsza. Noc osłoniła i zaćmiła wzrok jego, ale nie duszę. „W głębi mego ducha olśniewające światło błyszczy! woła z uniesieniem. Do mnie wierni służy moi! do mnie wszyscy co do jednego! Dla spełnienia wielkiego dzieła, dość tysiącom rąk jednego ducha.” Z chwałą w grób się położy, kołysany wzniosłem rojeniem.—„Chciałbym milionom pokoleń otworem pozostawić obszary nowe, na którychby zamieszkać mogli w czynnej swobodzie; tak, myśl ta trawi mnie jak Feniksa płomień odrodzenia, dobiłem się szczęśliwie kresu mądrości. Ten tylko zasługuje równie na swobodę jak na życie, kto codziennie zdobywać je umie. O! czemuż własnymi oczyma widzieć nie mogę rozwijającego działalność podobną ludu wydartego nędzy i poniżeniu, na ziemi wydartej żywiołom? Wtedy powiedziałbym bieżącej chwili: stój! zatrzymaj się! jesteś tak piękna! Nie, nie, ślad dni mych ziemskich nie zginie, chyba pośród wieków pochodu... Przecznicie podobnie ogromnej szczęśliwości jest najpiękniejszą godziną mego życia.”

W takito zachwyt niebiański popadają prawdziwi bohaterowie, będący dobroczyńcami ludzkości. Rozbudza go w ich duszach przewidzenie epoki, w której zniknie z ziemi

nędza, ciemnota, słowem wszelkiego rodzaju niewolnictwo, a przynajmniej skończy się panowanie przekazywanego dziedzictwem upośledzenia, i nie będzie już innego zła na świecie, jak tylko to, które leży w zarodkach własnej człeka swobody, stanowiąc zarazem próbę jęj i ukaranie. Takie też jest i rozwiązanie drammatu, w którym przedstawić zamierzono coraz podniosłejsze szlachetnej żądzy dążenia. Oczywiście się ona na samym wstępie ściśłem przymierzem z sztuką i wiedzą, stopniowo zdobywa coraz szacowniejsze tajemnice piękna i prawdy, następnie oddaje się duszą całą dobru ludzkości, aż wreszcie, zdobywszy sobie samopoznanie, stawia u kresu, godna w śmierci nawet kosztować uciechy najszlachetniejszego ze wszystkich tryumfu. Nie, zaprawdę, Bóg nie mógł potępić Fausta: byłoby to potępić zarazem naszą naturę i nędzę, nasze namiętności i zasmucenia, byłoby to potępić także i to co pierwsze okupuje a drugie pociesza: poczucie piękna i dobra, tkwiące nawet w głębi naszych skaz i przewrotności; byłoby to potępić jednym słowem ten brzask niebieski słusznie olśniewający Mefistofela, a który świtając pomrokom pośród których żyć nam kazano, przemocą dźwiga człowieka z nicości.

Posłuchajmy chóru aniołów, wzlatujących w górne sfery ze słodkim ciężarem nieśmiertelnej części naszego bohatera:— Zbawiony jest szlachetny duch, zbawiony! Kto walczył, kto pracował, tego wydzwignąć się godzi: zły duch nie ma nad takim mocy. Najwyższa Miłość z wysokiego nieba, Sama Ona pomyślała o nim! Zbór błogosławionych wychodzi na jego spotkanie i wita go z świętą uciechą!— Słowa te dają najprawdziwsze świadectwo filozoficznemu wyznaniu wiary Getego. Przekonać się z nich łatwo, że wyznawany przez niego panteizm, nie należy bynajmniej do rzędu pojęć usypiających człowieka w błogięj bezczynności, dlatego że czuwa nad nim prawo nieodwołalnego zrządzenia, które za niego myśli, chce, słowem we wszystkim go wyręcza; takim jest panteizm mistyczny, wschodni, całkowicie sprzeczny z przekonaniami Getego. Jego zaś własny, jest panteizmem działawczym, wyznaczającym woli człowieka powołanie wybitne, niby udział jego w ogólnej pracy, i wyzwalaający go zarazem z wszelkiej zależności, nie żeby takowe nie istniały, ale że właśnie nieustanna z niemi walka

jest szermierką jedynie godną swobodnej ludzkości. Podobnego panteizmu dali nam już przykład stoicy Grecyi i Rzymu, podobny także w nowszych zjawiał się czasach, tylko że do pewnego stopnia uduchowniły go czystsze religijne pojęcia w połączeniu ze swobodą w rzeczach sumienia.

Ponieważ Faust jest uosobieniem ducha ludzkości, czy też ludzkości samą z całą jej nędzą i wielkością, godzien był tedy zbawienie otrzymać, bo także nadgroda czeka i cały ród człowieczy, idący wieki, wśród pracy ciężkiej, ku ostatecznemu udoskonaleniu. Tylko że bohater ten, zanim ludzkością został, człowiekiem był; skutkiem czego zaznał i boleści i żądz powszedniego życia, ale nadewszystko nieśmiertelną miłością kochał. Uczucie to szczytne, śmierć nawet zwyciężyć zdolne, nieustannie wolę człowieka, myśli jego, duszę, ku niebu pociąga. Któż się oparł kiedy tej tajemniczkiej tęsknocie, któż nawet kiedy chciał tego? Doprawdy, tak błogo jest wierzyć, że miłość podzielona z duchem czystym, po jego odejściu nawet, staje się podniecią postępu moralnego, duchowi targającemu się jeszcze w więzach doczesnej niewoli. W wielkiej scenie ostatecznego wyzwolenia Fausta, pośród tylu śpiewów, bijących zewsząd jak kadzidło ku orszakowi nadciągających aniołów, pomiędzy głosami świętych pustelników, brzmiących ku Bogu harmonią mężką silnych dusz i wielkich myśli, nie, nie daleko wyżej jeszcze, tam, pośród tego zboru pokutnic, wznoszących gorące błaganie ku wiekuistej światłości, kiedy króluje *Matka chwalebna*, posłuchajmy rzewniejszej nad inne, drżącym głosem wypowiedanej prośby tej, która się niegdyś na ziemi nazywała Małgosią:

„*Jedna z pokutnic.* O dziewico! o niezrównany wzorze czystości! racz zwrócić łaskawe oblicze ku memu szczęściu! Oto ten, któregom kochała niegdyś na ziemi, spoczął już i wrócił... otoczony zewsząd wspaniałym duchów zbozem, przychodzić nowy, opamiętać się nie może; zaledwie ośmiela się domyślać nowego w sobie życia... Patrz! patrz o Pani! jak zrywa z siebie aż do ostatniej szmaty dawny swój ziemski przyodziewek; jak z pod powietrznych szat w które go przyodziano, przegląda wdzięcznie rzeźwa siła jego lat młodzińskich. Racz dozwolić, niech go ucze nowego życia: blask tutejszy jeszcze go oślepia.

Matka chwalebna. Zezwalam na to. Wszakże nie zaniedbaj wznosić się ku coraz wynioslejszym sferom; jeśli mu dano zrozumieć cię: pójdzie za tobą.

Zbór tajemniczy. Wszelka rzecz przechodnia symbolem tylko jest. Tu dopiero dopełniają się przerwane gdzie indziej szczęścia, to co niewysłowione, rzeczywistość bierze, wiekuisty czar kobiecej duszy wniebowzięciem się staje."

Jakiegokolwiek byłby kto przekonania, niepodobna, żeby go nie wzruszyły do głębi te sceny ostatnie drugiego Fausta, w których wielki poeta, wśród zimowego późnych lat odrętwienia, budzi się znowu młodzieńczym wieszczem, uderzając w struny natchnienia, jakby na nich łabędzia pieśń wygrywał. Hymny sławiące miłość niebieską, święte zachwyty, idealna harmonia złożona z porozumienia się dusz z których każda jest już tylko dźwiękiem czy myślą Bożą, z takichto żywiołów składa się owo zakończenie przedziwne; w końcu wszystko zlewać się zdaje w jedną wspólną światłość mistyczną, kołysaną słodkimi melodyami aniołów. Czujesz wyraźnie że poeta sam się oczarował blaskami temi i urokiem tych tajemnic. Zresztą i nie wypiera się tego w rozmowach z Eckermanem. „Pośród tych nieujętych obrazów, których zaledwie przeczucie mieć można, byłbym się obłąkał, powiada, gdybym nie znalazł poparcia w tych tak dotykalnie gorącą wiarą wytworzonych postaciach, które myślom moim poetycznym dały ostateczne tężno silnego życia." W istocie dziwnieźby tu wyglądało zastosowanie filozoficznych danych Getego. Wyobraźmy sobie tylko poemat ten, rozwiązujący się w chłodnych powiewach, niechby nawet najidealniejszego panteizmu. W podobnych warunkach, abstrakcyjne zbawienie Fausta, dopełniłoby się spłynięciem w nieskończoności, której był widziadłem przelotnem, słowem, czystem tylko roztopieniem się w tej „jedności przedwiecznej, która nieustannie sama siebie stwarza. Tedy artysta wolał tu zadać gwałt filozofowi, i bardzo słusznie się stało. Zarazem jedna to z największych osobliwości tego poematu obmyślanego w duchu panteistycznym, że się rozwiązuje w promienistej chwale wiary prostaczków, która z tej strony rzeczy biorąc, od czasów Dantego, nie miała może potężniejszego wyznawcy.

....Wzgląd estetyczny któremu w tym razie uległ poeta, skłania nas zwrócić się jeszcze ku niektórym ustępom poematu, w których, na sposób nie mniej od reszty abstrakcyjny, przedsięwziął rozwinąć pojęcia swoje o sztuce. Dadzą się one streścić w następnej zasadzie: sztuka powinna szukać wzorów w tradycjach przekazanych przez starożytność, odświeżać się zaś nieustannie natchnieniem bieżącym. Myśl ta przewodniczy wszystkim scenom, w których się ukazuje Helena, osobiście zaś aktowi trzeciemu, który też cały niemal boskim swoim urokiem opromienia nieśmiertelna piękność grecka.

W przedmiocie czarnoksiężkich godów Fausta i Heleny, zastał już Gete w średniowiecznej legendzie dane gotowe. Faust przesyciwszy się wszelkiego rodzaju rozkoszami, żąda od piekła, ażeby mu dało jeszcze posiadać Helenę. Ten zaś ideał piękna, z którego starożytność bóstwo sobie zdziałała, ascetyzm wieków średnich związał z czartowskimi pokusy, uosabiając w greckiej wdziękini, zgnębne powaby plugawej lubieżności. Gete zarówno żarliwy czciciel przyrody jak i starożytnej sztuki, będącej w oczach jego najdoskonalszym tejże wyrazem, nie mógł zcierpieć podobnego jak nazywał świętokradztwa. Schwyciwszy pomysł podania, tchnął w nie własnego ducha. Wprawdzie w drammacie równie jak w legendzie, Faust w tajemniczy sposób ulega urokom czarodziejskiej piękności; Helena jednak ani na chwilę jedną nie dotknęła stopą tej plugawej otchłani, w którą śmiały ją zepchnąć barbarzyńskie wieki. Owszem, wraz z jej osobą wstępuje się w pogodną krainę wiekuistych idei; jest ona jak i niegdyś kobietą, ale zarazem i typem. i to najczystszy typem sztuki, a raczej wszelkiego rodzaju jej natchnieniem. Dzieje jej są niby emblematem przedmiotu wielkiej wagi. Przedstawia ona losy poezji, przypomina najprzód świetne jej brzaski we właściwej ojczyźnie, dalej symboliczne uspienie trwające wieków nie mało, następnie pełne chwały zbudzenie w epoce Odrodzenia; przepowiada wreszcie niedalekie jej tryumfy i długą przyszłość.

....Nietrudno dopatrzeć w poemacie dwóch wyraźnych epok zaklęcia Heleny. Jedno jest czysto metafizyczne, i dopiero drugie stanowczo wskrzesza ją do życia. Obadwa jednak wzajemnie się dopełniają. Pierwsze pobudzone jest

niejako działaniem tylko wyobraźni, nie wyraźną jeszcze ani dość silnie określoną żądzą, nie tyle posiadania, ile raczej ujrzenia Heleny; drugie już w nieukróconej swojej gwałtowności miłosnej, rzuca go najprzód w ślad za widziadłem w przygody i niebezpieczeństwa *sabbatu klasycznego*, a następnie daje mu moc nadludzką wdarcia się aż do krain otchłani. Tam tkliwemi słowy Prozerpinę zmiękczywszy uzyskuje od niej choćby chwilowy Heleny powrót do życia; z wzajemnej ich bowiem miłości, zrodzi się światu dziecię cudowne, poezya nowoczesna.

Ale nie uprzedzając myśli poety, obaczmy, poczynając od jęj zawiązku, idąc z jęj wątkiem: jak się ona stopniowo wypowiada coraz wyraźniej, jak się udotykalnia coraz szerzej, aż dopóki nie dosięgnie ostatecznego swego rozwoju, w którym naraz wykrawa się odrębną całością, mającą w poemacie życie własne, niezależną od reszty formę, słowem indywidualność całkiem sobie właściwą.

...Uzbrojony magicznym kluczem otwierającym zaczarowane światy sztuki, wraca Faust z państwa *Idei-matek* przyprowadzając z sobą Parysa i Helenę. Odbywa się to szybko bardzo. Właściwie bowiem jest to tylko wskrzeszenie typów; życie nie zostało jeszcze dane tym postaciom, mają tylko ułudę jego i pozory. Pierwszy ukazuje się Parys. Przy wdziękach rozkosznej muzyki, przybiera rozliczne ruchy, jakie nieśmiertelniła rzeźba starożytna. Pośród widzów mężczyźni - drwią z niego lub go obrzucają przekleństwami; natomiast kobiety czulsze nierównie, pełnemi uniesień słowy, wypowiadają niezrównane powaby tęg wiekuistęg młodości, która je przejmuje miłością. Parys usypia, zjawia się Helena. Zbliżywszy się do niego, składa pocałunek na jego ustach, poczem odchodzi i znów na niego spogląda. Wtedy to szczególnie zachwycającą się wydaje. Mężczyźni, rozpaleni żądzą, nie znajdują słów na jęj uwielbienie; przeciwnie kobiety, w przystępie zazdrości i nienawiści, nie szczędzą jęj złośliwych uwag i pogardy. Sam Faust nie umie być już dłużej panem siebie; patrząc na tęg piękność boską, zapomina gdzie jest, czém jest, co robi, i Mefistofeles co chwila powstrzymywać musi jego gwałtowność. Tymczasem Parys i Helena zdają się pociągani ku sobie niepowstrzymaną niczem siłą. Jedną razą Parys chwytą kochan-

kę, jakby ją uprowadzić pragnąc. Tu już Faust nie posiada się z szalonej zazdrości; nie bacząc na skutki, zwraca przeciw niemu klucz czarodziejski, który jeszcze w ręku ma; w mgnieniu oka następuje wybuch straszliwy: widziadła pierzchają z dymem, Faust pada rażony gromem.

W następnym akcie znajdujemy go rozciągniętego na łożu, w dawniej jego znaniej już dobrze komnacie. „Spoczywaj tam nieszczęśliwy, spętany trudnemi do zerwania więzami miłości! Niestety! nie łatwo oprzytomnieje, komu raz boska Helena zdrętwiała ducha!“ Z tém wszystkiém, uspienie to magiczne, nie pozostaje bez pociechy. Podczas kiedy leżą bez życia rażone gromem członki Fausta, dusza jego czuwa i śni błogo. O czémżeby marzył: jeśli nie o czasach i pokoleniach szczęśliwych, którym dano było oglądać tę Helenę niebiańską, która się stała drugą duszą w jego duszy, najszczytniejszym ideałem w jego wyobraźni? Stopniowo, przesuwają się po zwierciadlanej przezroczystości ukołysanych do snu myśli Fausta, wszystkie najwdzięczniejsze widzenia klasycznej greckiej legendy. Co za kraje cudowne! co za przepyszne krajobrazy! co za przejrzyste wody w głębiach poświęconych gajów! Tam, ponad niemi, cóż za urocze kobiece postacie! Nad wszystkie jedna; naga i gotowa już do kąpieli, zdaje się należeć do rodu bohaterów, nawet może bogów samych. Stopą dotyka już wody, wrażenie chłodnej fali, jakże rozkosznie drażnić się zdaje ten słodki płomień życia, który ożywia szlachetne jęj członki!... Ale cóż to znagła za szmer skrzydeł miotanych gwałtownie? Zkąd pochodzi ten szelest przeszywający świętym dreszczem? Towarzyszek pierzchają wystraszone, sama tylko nie obawia się niczego królowa. Ona, spokojnym wzrokiem, w słodkiej serca swego pysze, spogląda tylko, jak coraz bliżej, po wzruszonej fali, podpływa ku nięj szlachetny Łabędzi król!... To Leda, niebiański to kochanek jęj, Olimpu mocarz, Cejs nieśmiertelny!... Marzyć o miłościach Ledy, to jeszcze marzyć o Helenie. W widzeniu tém czarodziejskiém, wyjaśniającém oraz loiczną piękność mytów greckich przygotowują się niby powtórne odrodzenie Heleny. Zarazem (zwracając rzecz tę ku Faustowi), widocznie leżało w intencjach poety, wtajemniczać go na nowo, i jakby doskonalej niż

wprzód, w to co niebawem stać się ma rzeczywistością, zamiast jak dotąd przywidzeniem tylko.

Jakoż, zaraz potem, Faust rzuca się duszą całą w namiętne poszukiwanie znikłej Heleny. Rozpoczyna się to, mało z wszech względów usprawiedliwionym, a niesłychanie ciemnym w sobie ustępem, noszącym nazwę *klassycznej nocy Walpurgi*. Po długich korowodach, w scenie która nie została napisaną, Faust dostawał się wreszcie aż do samego tronu Prozerpiny, i tam wzruszającemi, gdyż z głębi serca płynącemi słowy, wygrywał od niej: nie już przywidzenie czarodziejskie jak wprzód, ale zmartwychwstanie Heleny, wraz z nadzieją jej posiadania, nawet słodką obietnicą jej miłości. Ziszczenie tej obietnicy, stanowi właśnie przedmiot całego aktu trzeciego, jednego z najchętniej dziś czytanych, w nim bowiem geniusz poety, potężnie podniecony powabem i nowością pomysłu, potrafił wzbić się ku najwyższemu sferom natchnienia.

Spróbujmy streścić kunsztowne powikłanie idei, stanowiących części składowe tego wspaniałego epizodu. Królowa przybywszy do Sparty, zatrzymuje się u przedsionka pałacu Menelaosa, otoczona orszakiem trojańskich niewolnic. Niepokój uciska piękne jej czoło, otoczone jakby wieńcem z ciernia tragiczną fatalnością, którą miłość wiecznie nosi z sobą. Expozycja tu wielce szlachetna, ale akcja rozwija się powoli, szczególnie w rozmowach, do których starożytnym obyczajem chór mięsza własne uwagi, rady, moralne zdania, przewidzenia przyszłości. Tymczasem niepokój Heleny okazuje się wielce usprawiedliwionym. Zaledwie przekroczyła próg pałacu, kiedy niebawem wraca nazad pełna trwogi. Kobieca postać obrzucona zasłoną, straszliwe widziadło, Phorkys jednem słowem, stanęła jej na oczach, wzbrowiła iść dalej i jeszcze nawet w tej chwili towarzyszy jej aż do przedsionka. Jestto widmo wyrzutów sumienia i straszliwych przeczuć. Zwiastuje ono królowej, że Menelaos niebawem wraca rozszokowany, że najkrwawszą zemstą dysząc, ją naprzód pod nóż ofiary przeznacza, a następnie wszystkie jej towarzyszek co do jednej u belek pałacowych powywiesza. Pozostaje tylko jeden środek ratunku. W dolinach „z cieniów kymbryjskich nocy wylęgły,” osiedlił się ród zuchwały. Zrazu nic o nim słyhać nie było, ale po-

woli rozsiadł się coraz przeważniej, i dziś stał się panem kraju. Wiekito średnie, północneto ludy, zjawiają się w ten sposób na ziemi greckiej. Oni tylko jedni ocalić mogli Helenę. Takimto podstępem przeznaczenie oddaje klasyczną Helenę miłości barbarzyńskiego Fausta.

Helena z całym poddaniem się słucha wyroków konieczności. Jak każdy wyższym jakim darem niebios powołany do odznaczenia się w dziejach świata, i ona także nie zależy wcale od siebie. Piękność jej nie jej jest własnością, ale bogów; bogowie zaś postanowili nieodwołalnie, za pośrednictwem Heleny, piękność tę, rodem i wiekom całkiem nowym przekazać w udziale. Helena sama wie o tém dobrze.— „Tyś jest konieczność” powiada do Phorkydy, mam tego niemylnie przeczucie... Powiedz mi, gotowam pójść za tobą do zamku, w którym mieszkają tak zwani dotąd przez nas barbarzyńcy. *Co dalej będzie... wiem już.* Wszakże to co w głębi serca złożyła królowa, winno każdemu pozostać tajemnym.” Tajemnica ta wyjaśnia się jednak w danéj chwili: przybycie Heleny jest wielką uroczystością w średniowiecznym zamku. Faust odchodzi od siebie z zachwyty, oglądając wreszcie w progach swoich tę piękność tyle upragnioną. Zaczem odbywają się weselne gody, święcone z całą wspańiałością, na jaką tylko stać bogatych przybyszów, posiadających w obfitości skarby, o których ani się śniło Grecyi staréj, nigdy nazbyt płodnej i przeto wielce sobie ubogiej.

Następnie rozpoczyna się kształcenie Heleny przez Fausta i Fausta przez Helenę. Helena, w poufnych małżeńskich zwierzeniach, wprowadza Fausta w nieprzystępne niepoświęconym przybytki starożytnego piękna, i wypowiada mu ostateczne tajemnice boskiej sztuki wieków, w których żyła. Z kolei Faust uczy Helenę wszystkiego co sam umie: obyczajów, myśli i języka czasów nowych. Wreszcie w przesłicznej scenie; wtajemnicza ją w melodyą rymu, której Grecya pojęcia nawet nie miała. „Co za szczególna, co za urocza mowa! powiada oczarowana Helena; dźwięk jeden zdaje się łączyć miłośnicie z drugim. Zaledwie wybitniejsze słowo uderzyło zmysł słuchu, ażci niebawem przybywa drugie podobne, upieścić swego poprzednika. Równie echo jak serce, dziwną ztąd mają uciechę.” I oto, zrazu trwożnie, dalej

coraz śmielój, piękna Greczynka sama próbuje mówić wiązaniem dźwięcznie słowy. Rozmowa z Faustem, to ją pociąga ku tej chęci, to wyzywa o lepszą; miłością tchnące wyrazy, wdzięczne jak miłość wywabiają odpowiedzi.

Ale zagnęła pośród tych słodkich szermierek, wszczynając się zgiełk straszliwy; wojenne okrzyki, szcęk broni, zwiastują krwawe starcie: to przybywa Menelaos z tłumem swoich wojowników. Ale najdzielniejsze jego szyki rozbijają się o warowną obronę murów, oraz bojową sztukę, której potęgi ani się domyślali. Menelaos po raz drugi traci Helenę a wiarołomna jego małżonka przenosi się z barbarzyńcem swym zwyciężkim do idealnej Arkadyi, gdzie cała przyroda podziela z niemi uroczystość miłosnych zachwytów. Tam wreszcie, tajemniczy ten stosunek owoc przynosi. Z łona Heleny wybiega na świat piękny jak bóg Euforion, dziecię przeznaczeń świetnych, byle tylko życia mu starczyło; płyną bowiem w żyłach jego razem z krwią bogów przekazaną mu przez Helenę, wrzące strumienie namiętności całkiem świeżego rodu. Niestety! nie starczy mu lat! Żyje nazbyt pośpiesznym, nazbyt bohaterskim życiem; szorstkie rzeczywistości powijaki ugniatają go, uwierają do niezniesienia. Żyje rozgłosnie ale nie dłużej jak godzinę (1). Zagnęła urocze jego członki rozpierzchają się w powietrzu; zstępuje do Hadesu, dokąd i matka koniecznie za nim pośpieszy. Helena ostatni pocałunek składa na zbłądłych ustach Fausta. „Pękły już życia ogniwa, powiada, tak jak już pękły miłości.” Po tych słowach znika pozostawiając w rękach Fausta kraj zwierzchniej swojej szaty. Taki zaś ma przymiot czarodziejska osłona, pod którą przebywając ziemię po raz drugi, kryła swe wdzięki piękność boska: że jedną razą porывa Fausta w powietrze, i tak go trzyma czas dość długi, za śladem niebiańskich istot które go odbiegły.

Symbolistyka całkiem tu jest przezroczysta; zresztą sam Gete nigdy nie ukrywał do niej klucza. Owszem, udziela go jak najchętniej każdemu kto by sobie życzył, bądź w listach swoich, bądź w rozmowach. „Już od samego początku

(1) Z niektórych rysów miejsca tego w poemacie, niewątpliwie wnosić się godzi: że Gete stwarzając Euforiona, miał na myśli tyle świetny a tak niestety krótki zawód współczesnego sobie Byrona.

powiada, zjawiają się tu i owdzie nazwy klassycznosci i romantycznosci. Zrobiono to dlatego, żeby oswoiwszy czytelnika z ich znaczeniem, doprowadzić go stopniowo aż do wyżyny, na której napotka Helenę i z nią na równi stojącego Fausta. Dwa te uosobienia dwóch form poetycznych, wchodzą następnie w układy, zakończone najzupełniejszym porozumieniem... Czas już bowiem załatwić wreszcie te niepotrzebne a tak namiętne dwóch szkół zatargi... Otóż jest punkt widzenia, bystrzejszy jeszcze i wznioślejszy nierównie od poezyi starożytnej, jakbądź i jej zawdzięczamy odrodzenie smaku w wieku XVI. Czyż nie nauczymy się nakoniec, z orleń wysokości na rzeczy patrząc, przyznać wszelkiemu pięknu należne mu estetyczne stanowisko, bez względu na to, czy jest starożytnego czy nowszego pochodzenia? W tęto właśnie nadziei, stworzyłem poetyczny ustęp Heleny, przekonany że kto zdoła ogarnąć jego całość, z łatwością też przyswoi sobie i szczegóły. A teraz oddaję uosobione w jej postaci piękno greckie, właściwemu jego przeznaczeniu.“

Z tém wszystkiém w samodzielnym tym pomysłe niepodobna nie dopatrzeć grubych plam zaciemniających, nawet w pewnym względzie brukających przezroczystość jego symbolistyki. Dobrze to wszystko, dopóki idzie o idealne gody, allegoryzujące połączenie sztuki dawniej z poezją nowożytną, ale dziwnie to wygląda, stawiając się po stronie starożytności klassycznej, kojarzyć ją, jak to ma miejsce w *Sabbacie klassycznym*, z chórem poczwarnych postaci. Już Mefistofeles przerzucony w widziadło Phorkydy nie mały wstręt obudza. Szczególnaż to myśl wszczepiać brzydotę w ten świat bezwzględного piękna, któremu zwłaszcza króluje Helena. Cóż dopiero powiedzieć o *Sabbacie klassycznym*, którego samą już nazwę zlepieno z dwóch wyrazów śmiertelnie sobie nieprzyjaznych. Jestże na świecie dość powabna erudycja, któraby usprawiedliwić zdołała użycie do pomocy tej ohydnej zgrai najpotworniejszych wyrodków, które się tam roją do zbytku? Potrzebowałże mistrz wielki nastrojać w sobie natchnienie opętanemi pomysły tessalskich czarownic? „Jestto klassyczny romantyzm” tak sam powiada. Dobrze: ależ w takim razie, wypaczony to zarazem klassycyzm. W tym względzie Gete poszedł nawet wbrew temu, co sam włożył w usta Phorkyadów: „Zrodzone w wieku-

stym zmroku—śpiewają one —z cieniami nocy zrosłe, niezna-
ne niemal sobie samym, tém bardziej dnia jasnego synom,
nigdy nie odtworzyła nas sztuka żadna.” Bezkształtne te
i niemal bezimienne ohydy, pełzające na samém dnie mitol-
ogicznych mętów, można było bez najmniejszej szkody po-
zostawić w ich błocie. Wyciągając je ztamtąd i opromie-
niając szlachetnej sztuki światłością, dopuścił się Gete po-
dwójnego przestępstwa: zeszcpecił starożytność klassyczną,
i unieprzystępnił całe części swego poematu. Przestępstwa
te są mu zarazem karami. Powiedziano to nie bez pewnej
słuszności, że polyteizm twórcy Fausta, stanowi ozdobę jego
panteizmu; tylko że nieraz w ozdobie téj przebierać lubi
miarę, i wtedy upiększenia jego samochcący ciężarem swoim
zgniatają ideę, której poprostu powab tylko nadawać miały.